

NAUKOWCY ŚWIATA — O MICKIEWICZU

Zarliwość i nieprzejednana walka o wyzwolenie własnego narodu sprawiły, że Adam Mickiewicz stał się szermierzem wolności i postępu całej ludzkości. Imię jego historia powiadała z najwybitniejszymi przedstawicielami epoki, a jego dzieło dotychczas urzeka swym czarem nie tylko przez swój kształt artystyczny, ale przede wszystkim przez wyrażającą się w nim głęboką prawdę o życiu, prawdę o najistotniejszych sprawach współczesnego mu pokolenia, duszącego się w wielu krajach pod uciskiem Sw. Przymierza i sił z nim współdziałających.

Obchody stulecia śmierci poety uświadomiły jego wielkość nie tylko nam w kraju. Oto Polska Akademia Nauk, zamykając swoje prace związane z badaniami nad życiem i twórczością poety, zorganizowała Sesję Naukową z udziałem przedstawicieli nauki z zagranicy. I okazuje się, że imię Adama Mickiewicza przełamuje bariery różnorodnych uprzedzeń i niechęci, że artyzm jego poezji i szlachetność celów jego walki zbliża dziś wielu ludzi we wspólnym pragnieniu zgłębienia wiedzy o nim, jako poecie i człowieku.

Na jesieni ub. roku byliśmy świadkami „złoty poetów”, którzy z wielu krajów przybyli do Warszawy, aby w dniu zamykającym minione stulecie od chwili zgonu twórcy „Pana Tadeusza” uczcić jego pamięć. Pamiętamy wzruszający wieczór, w czasie którego nasi wielojęzyczni goście w ojczyściej mowie deklamowali swoje utwory ku czci Adama Mickiewicza.

Sesja Naukowa Polskiej Akademii Nauk, to zjazd uczonych. W dniach 17—20 kwietnia br. ponad czterdziestu przedstawicieli nauki z 19 krajów obradowało w Warszawie nad problematyką twórczości i życia poety.

Już sam fakt zgłoszenia 22 prac naukowych przez uczonych z zagranicy jest pełen wymowy. W programie widniały nazwiska tej miary, co wybitny historyk literatury rosyjskiej Michaił Aleksiejew, wielki znawca twórczości Puszkina — Dymitr Błagoj, poeta ukraiński i znakomity uczonec — Maksym Rylski. O badaniach nad twórczością Mickiewicza w swoich krajach mówili przedstawiciele Litwy i Białorusi: K. Korsakas i P. Glebko. Z Francji, Włoch i Niemiec przybyło wielu wybitnych sław, spośród których wygłosili referaty: prof. G. Maver (Rzym), prof. E. Lo Gatto (Rzym), prof. Jean Fabre (Paryż) i prof. W. Falkenhahn (Berlin). Przybyły delegacje z krajów demokracji ludowej, których członkowie zgłosili liczne prace. Oto nazwiska autorów: prof. I. Szoter (Budapeszt), prof. K. Krejczy i J. Dolansky (Praga), prof. A. Mraz (Bratysława), prof. P. Dinekow i prof. E. Georgijew (Sofia) i inni.

Na Sesję przybyli także przedstawiciele narodów Jugosławii: prof. Ziwanowić (Belgrad),

Mgr J. Rużyło-Paulowska

sekretarz naukowy Komisji Naukowej
Obchodu Roku Mickiewicza PAN

prof. Hamm (Zagrzeb) i prof. Sładujak (Lublana).

Szeroki zespół autorów z wielu krajów musiał spowodować różnorodność tematów w programie Sesji. Mimo to program stanowił całość, mającą wewnętrzną logikę i łączącą poszczególne referaty w problemowe związki, których osią jest postać i twórczość Adama Mickiewicza. Wzbogacając go także prace polskie prof. J. Krzyżanowskiego, prof. K. Wyki, S. Kieniewicza, H. Bałowskiego, J. Starzyńskiego i Z. Stefanowskiej, będące prezentacją naukowego dorobku Roku Mickiewiczowskiego w naszym kraju.

Jakiego typu problematykę Sesja obejmowała, jakich treści poznać będzie ona dotyczyć jako manifestacja naukowa?

Najogólniejsza odpowiedź na to pytanie wskazywać musi przede wszystkim na zagadnienia tradycji związków kulturalnych różnych krajów z Polską, tradycji kształtujących się w toku działalności Mickiewicza jako bojownika o wolność, a także powstających i rozwijających się po śmierci poety na tle dzieł recepcji jego dzieł.

Do pierwszej grupy zagadnień należą takie tematy, jak: „Mickiewicz a rosyjska poezja XIX wieku”, „Mickiewicz i Francja”, „Mickiewicz i Mazini”, „Mickiewicz i Niemcy”. Druga grupa prac obejmuje tematy omawiające ideologiczne oddziaływanie dzieł poety na kształtowanie się idei politycznych, a także recepcję literacką, a więc przekłady i związki z piśmiennictwem.

Problematyka twórczości poety, zgodnie z historyczną prawdą, najwięcej miejsca zajęła w związku z „Księgami Narodu Polskiego”. Jak wiadomo, utwór ten doczekał się od razu licznych przekładów i był współcześnie najwięcej czytany. Była o nim mowa na Sesji dwukrotnie, mianowicie w referacie pt. „Mickiewicz a Lamennais w latach 1832—34” i w wystąpieniu o recepcji publicystyki Mickiewicza w Niemczech dr. A. Hermann z Berlina.

Praca prof. Wyki o „Panu Tadeuszu” („Poezja i prawda w „Panu Tadeuszu”) była jedynym studium wyłącznie o utworze Mickiewicza. Wśród prac dotyczących ogólnej problematyki związków kulturalnych z Polską należy wyróżnić referaty omawiające kontakty wybitnych przedstawicieli epoki z Mickiewiczem. Problematyka stosunków Mickiewicza i Puszkina zajmowały się prace D. Błagoja i E. Lo Gatto, prezentujące zupełnie odmienne metody badawcze, a problematyki związków Mickiewicza z Maziniem dotyczył referat prof. G. Mavera.

Jak wiadomo, działalność Mickiewicza jako polityka i bojownika o postęp w skali europejskiej znalazła swoje szczególne osiągnięcie w okresie „Wiosny Ludów”. Fakt ten na Sesji musiał znaleźć swoje odbicie, mówi o nim praca S. Kieniewicza „Mickiewicz w dobie Wiosny Ludów”, mówią też o tym inne referaty, ukazujące na tle burzliwych lat tego okresu rolę poety jako budźciela świadomości narodowej w krajach południowo-słowiańskich.

Przedstawiając w dużym skrócie problematykę naukową

obrad Sesji, należy stwierdzić, że znaczenie jej przekracza jednak zakres celów ściśle poznawczych.

Oto po raz pierwszy w naszym kraju witamy tak liczny zjazd naukowców przyjeżdżających do nas z zagranicy ze swoimi pracami. Przybyli powołani żywym zainteresowaniem i miłością dla dzieła Adama Mickiewicza, kierowani pragnieniem poznania kraju, który jest jego ojczyzną.

Witając wszystkich naszych gości na ziemi polskiej, witaliśmy również jak najlepsze nadzieje na przyszłość, na dalsze pogłębianie współpracy dla dobra rozwoju nauki, dla dobra pokojowego współżycia między narodami.

W poszukiwaniu nowoczesnej estetyki

Napisała: Urszula Czartoryska

wencji formalnej, która była

głoszona przez „nieomylnych”. Ale najważniejsze, zdaniem Kotta, to nie fałszywe tezy z dziedziny formy dzieła sztuki, ale fakt, że „... literatura i sztuka przestały mówić prawdę, przestały rozumieć proces historyczny, przestały być jednocześnie sumieniem i rozumem rewolucji (...). Sztuka wyrażała się w wielkiej sztuce chwalcą, w wielkiej sztuce uświatliacą, w wielkiej nieustającej dekoracji” („Przegląd Kulturalny” nr 14).

Zastanowimy się, o ile słowa Kotta należy odnosić również i do malarstwa czy grafiki. Przypominamy sobie, że w sztukach plastycznych, podobnie, jak w literaturze, panowała pływająca i schematyczna optymistyczna „produkcja jnia”. Brakło prób atakowania tematów ogólnych, istotnych (nie chodzi mi bynajmniej o ponure). Oglądanie na wystawach okregowych i ogólnopolskich

setek nieodmiennie mlekiem i miodem płynących gospodarstw PGR i uśmiechniętych dziewcząt z SP było dla widzów równie uciążliwe, jak bezustanne czytanie o nich we współczesnych powieściach.

Ale w malarstwie istnieje dziedzina formy (kompozycja, bryła, płaszczyzna, barwa), za którą każdy twórca jest bardziej jeszcze odpowiedzialny — niezależnie od tego, czy jest tylko hurra-illustratorem życia, czy ma wyższe ambicje treściowe. Wykształcenie swojego warsztatu formalnego, osiągnięcie poważnego poziomu artystycznego jest dla malarza rzeczą podstawową (nad którą przecież pracuje całe życie). Dlatego właśnie uważam, że błąd nieodmiennie uśmiechniętych przodowników pracy nie jest w malarstwie polskim minionego okresu tak istotny, jak zaniedbania formalne, jak grzech popadnięcia w jedną szaro-burą, drobiazgową konwencję dziełnastawicznego naturalizmu. Bo — ostatecznie, gdyby tej narzuconej konwencji nie było, z każdego tematu, czy to pejzażu („Krowy na łące spódzielce”), czy to wnętrza z grupą ludzi („Narada produkcyjna”) — można by coś wyłuskać i zinterpretować go zgodnie ze swoim warsztatem artystycznym.

Same z siebie tematy „produkcyjne” nie muszą wcale być „puszczone” pod względem formy, tak jak to miało miejsce nagminnie na naszych wystawach okregowych. Stąd niedaleko już do zjawiska, że terenem rzetelnych poszukiwań najdoskonalszej formy były wyłącznie martwe natury, studia kameralnego portretu, wreszcie kompozycje abstrakcyjne. A tych ostatnich nie wystawiało się w salonach oficjalnych, bo nie chciały się godzić z panującymi schematami, bo niekiedy po prostu przewyższały poziomem nagradzane prace. Mam na myśli eksperymenty krakowskich i warszawskich okregowych „formalistów” (T. Kantor, Włodarski, Mierzejewscy i in.), którzy przez kilka lat nie nie chcieli i nie mogli wystawić, pracując jednocześnie z zaciętością.

Ale, sądzę, w najbliższych czasach na czoło polemiki artystycznych wysuną się inne już problemy. Mam nadzieję, że nie będzie się wracać do znanych już każdemu błędów minionego okresu. Dziewiętnasto-wieczne „produkcyjnia” należą już do przeszłości; teraz będzie się po prostu malowało krajobrazy z miast i wsi i kompozycje figuralne podpatrzone naprawdę z życia — mam nadzieję, że coraz lepsze. Ciężar

dyskusji przerzuci się na inną sprawę — na polemikę dwu postaw: intelektualnego malarstwa ideowego — z twórczością tzw. „kameralną”, rezygnującą z przekazywania przemysłowych przez artystę prawd o świecie. Z jednej strony staną rzecznicy wychowawczej roli sztuki — z drugiej, wyznawcy subiektywnego odczuwania wyłączone kształtów i barw świata. Oczywiście, ci pierwsi, „intelektualiści”, nie mają nic wspólnego z pompatyczną, doraznie użytkową ilustratorską sztuką minionych lat. Mają po pierwsze ambicję mówić istotną prawdę o świecie, po drugie — posługiwać się metaforą, uogólnieniem artystycznym, symbolem. Od swych „subiektywnych” antagonistów różnią się zasadniczo — różnią się odmiennymi poglądami na rolę sztuki w społeczeństwie. „Subiektywni” twierdzą, że malarstwo, to ich prywatna sprawa, że sztuka ma jedynie umilać nam życie, dostarczając przeżyć artystycznych przez piękne kompozycje barw na płótnach, ewentualnie przez upiększanie fasad domów kolorowymi malowidłami i nadawanie ładnych kształtów przedmiotom codziennego użytku.

Z dwojga dobrego można do- wolnie wybierać. Co do mnie — opowiadam się za tymi „intelektualistami”, za sztuką ambitną, znającą swą odpowiedzialność przed społeczeństwem. (Moja deklaracja jest jeszcze teoretyczna, bo to, co poruszyłam, to jeszcze sprawy programu, a nie realizacji w dziele sztuki).

A realizacja u przedstawicieli obu stanowisk jest równie dobra, równie nowoczesna. Nie ulega wątpliwości, że — niezależnie od programu — każdy artysta z poważnymi aspiracjami musi stale eksperymentować. Żadna ze stron nie jest z tego zwolniona — ani ci od kameralnych martwych natur i projektów makat, ani ci od skomplikowanych metafor w rodzaju obrazu „Symfonia liturgiczna Honeggera”. Żaden z programów nie przesądza o wyborze tego czy innego stylu, o większej czy mniejszej wierności naturze.

Po stronie sztuki upiększającej, umilającej życie opowiada się spośród malarzy bardzo wielu twórców starszego i młodszego pokolenia, najczęściej związanych z postimpresjonizmem, kierunkiem par excellence kameralnym. Wylaminowanie treści z malarstwa i łączność sztuki z produkcją przemysłową propagują towarzysze i uczniowie W. Strzemińskiego oraz poeta Julian Przyboś. Natomiast rzecznikami obozu intelektualnej, treściowej sztuki

(Dokończenie na str. 2)



ZIZI MACRIS — Grecja, „Uchodźcy”.



Godło „Olivo”. Z cyklu „Terror frankistowski” (Prace nagrodzone na wystawie V Festiwalu Młodzieży i Studentów w Warszawie)

JULIAN RYNOWIECKI

Z młodej poezji poznańskiej

PIEŚŃ

Wamieci Ireny

Nie liczysz nocnych godzin,
co giną z myślą moją?

Tak trudno w nocy chodzić,
tak trudno noc jest pojąć.

Nie słyszysz dni kuranta,
jak wciąż wydzwania doby?

Tak łatwo w domu zastać —
dysonans słów żaloby.

Ja muszę żyć za Ciebie,
dlatego dni tak długie.

Czy widzisz, jak sam jestem,
gdy wokół wszędzie ludzie?

Inicjatywa, którą należy podjąć

Wprawdzie dyskusja o poznańskim życiu kulturalnym (toczona za pośrednictwem prasy miejscowej, centralnej i fal eteru), wykazuje ostatnio pewne objawy niepokojące, rozprasza się w utarczki osobiste — nie wydaje mi się jednak słuszne jej lekceważenie. Trwa i coraz śmielej dotyka spraw bolesnych, a to jest zjawiskiem ze wszelkich miar pozytywnym. Inna już rzecz, że utarczki personalne należałoby w miarę możliwości wyeliminować — są przecież sprawy ważniejsze od tego, czy Pauksztie podoba się Guzy albo Bystrzyckiemu Pauksztu. Bo łatwo stwierdzić, że cała wyżej wymieniona trójka posłużyła się tym samym, osobistym i sugerującym „wojną literacką” tonem, poczynając od felietonu E. Pauksztu w „Expressie Poznańskim” (23. III.), a skończywszy na liście P. Bystrzyckiego w „Życiu Literackim” (29. IV.). Ton zaczepny, jedyny i gromki nie jest naturalnie niczym złym, odwrotnie — cieszy, gdyż wskazuje, że wychodzimy wreszcie z okresu letniej wody i wzajemnego poklepywania się po ramieniu. Sprawa jednak odrębna, to zarzuty, które przy tej okazji padły. Nie myślę powracać do oskarżeń o „czarne” czy „różowe” widzenie spraw kultury naszego regionu, była to wstępna faza dyskusji i sam byłem w niej stroną atakowaną. Później jednak (na marginesie przypomnienia upadku „Nurtu”) padły zarzuty bardziej konkretne (wprawdzie bez wymienienia nazwiska, ale pozwalające się go domyślać), pomawiające o storpedowanie tego pisma. Kwestię tę w dostępnym mi sposób postaram się wyjaśnić, gdyż bez tego wyjaśnienia trudno o pełną konsolidację organizacyjną środowiska, potrzebną dla rzeczy ważniejszych, wpięram jednak pozwolę sobie wyciągnąć pewne wnioski z aktualnego stanu dyskusji.

Kilku polemistów w formie postulatów, a Bystrzycki („Beniaminek” — Głos Wielkopolski — 22. IV.) w formie dość wypracowanego projektu, dotknęli rzeczy niesłychanie istotnej dla naszego ośrodka, a mianowicie — sprawy pisma kulturalno-społecznego, które mogłoby być trybuną miejscowej grupy marksistowskiej i obsługiwać w sposób „nie zaściankowy” nasz region. Naturalnie byłoby rzeczą śmieszna staczać dziś boje o udowodnienie słuszności tej inicjatywy; kwestionujących potrzebę takiego pisma chyba nie ma i dobrze się stało, że wychodzą poza ogólnikowe postulaty. Dziś, kiedy sprawa wydaje się być dojrzała do natychmiastowej realizacji, należy zastanowić się jedynie nad tym, jakiego ma być to przyszłe pismo typu.

„Nurtowi” zarzucano, że był „grupowy”, że zbyt mały krąg piszących ogarnął (mimo wspomnianych przez Bystrzyckiego około stu nazwisk) i posiadał zbyt wąską koncepcję ideową. Mając w tej chwili poza sobą uchwały XIX sesji Rady Kultury, widzimy jak niesłuszny był ten zarzut. Należy kategorycznie stwierdzić, że absolutnie nie jest nam potrzebne pismo typu „warka”, do którego wszystko się wrzuca i w którym wszystko da się pomieścić. Nie potrzebny jest „wszystkoistyczny” magazyn rozmałości. Takich mamy dość w naszym kraju. Poznaniowi jest potrzebny periodyk o wyraźnym i zdecydowanym obliczu ideowym, periodyk o charakterze polemicznym i postulacyjnym, oparty na grupie artystycznej, której siła nie może się mierzyć ilością ludzi z nią związanych, ale ideowo-artystycznym wyrazem. A

grupa taka istnieje. I w tym wypadku trzeba powtórzyć „błąd” koncepcji „Nurtu”, albowiem na pewno nie jest on błędem. Pisma nie może wydawać ani Wojewódzka Komisja Kultury, ani Front Narodowy, ani Związek Literatów, ani też Związek Plastyków. Nie może to być ani pismo literackie, ani plastyczne. Periodyk winien być wydawany przez RSW „Prasa” i mieć charakter kulturalno-społeczny, z wyraźnym naciskiem położonym na sprawy społeczne. Za jego bazę wyjściową muszą służyć aktualne problemy naszego regionu, jego gospodarki i kultury, z problematyki zagranicznej — przede wszystkim zagadnienia niemieckie.

Jeśli już mowa o „Nurcie”, to wydaje mi się, że nie bez pożytku będzie przypomnieć, iż błędem tej ubiegłorocznej inicjatywy było forsowanie przez czynników decydujących pisma typu jednodniówki. Błąd ten powtarza w swym wspomnianym wyżej artykule Bystrzycki i chyba przez nieśmiałość. Sytuacja się bowiem zmieniła radykalnie. Pisma domaga się nie „grupa partyzantów”, ale cały miejscowy aktyw kulturalny i inicjatywa ta ma w tej chwili oficjalne poparcie walnego zebrania Związku Literatów. Wiadomo, że żywot jednodniówek jest krótki, a wartość wątpliwa. Należy więc podkreślić, że Poznaniowi potrzeba stałego periodyku, najkorzystniejszy byłby w tym wypadku dwutygodnik, i od tego należy zacząć.

Wspomniałem, że nadszedł już czas, w którym przeżyć musimy od postulowania do pracy realizacyjnej, aby więc sprawa nie utonęła w powodzi gadulstwa konferencyjnego i zastanawiania się naszych władz, przypomnieć należy niechlebną śmierć „Nurtu”. Paukszta naturalnie nie występował z żadnym oficjalnym protestem przeciwko temu pismu i nie przewodził żadnej protestującej delegacji. W pracy wokół „Nurtu” zaangażowanych było zbyt wielu towarzyszy z KW i Miejskiej oraz Wojewódzkiej Rady Narodowej. Niewątpliwie więc do obwinienia Pauksztu przyczynili się przede wszystkim zle, zawierające wiele sprzeczności informacje pochodzące od niektórych z tych osób, jak i zdenerwowanie i gorączkowość towarzyszące przygotowywaniu do druku owej jednodniówki. A że rezerwa Pauksztu (jako przew. Komisji Kultury) w stosunku do pewnych spraw związanych z „Nurtem” posłużyć mogła za pretekst do zlikwidowania tej wysoce zaawansowanej już pracy, świadczy to tylko o cechującym ubiegły okres i czynnik decydujący braku odwagi w decydowaniu i braniu na siebie odpowiedzialności w sprawach pionierskich. Mam wrażenie, że niechlebną tę historię wyjaśniło ostatecznie walne ze-

branie ZLP, nie ma więc potrzeby w dalszym ciągu do niej wracać, Inna już rzecz, że musi stanowić dla nas ostrzeżenie w obecnym działaniu, wskazuje bowiem jak pewne tarcia organizacyjne mogą zaważyć na realizacji najbardziej słusznej inicjatywy i jak mogą ją storpedować.

Nie bez wpływu (dodatkowo) na obecne starania byłoby szczere i otwarte sprecyzowanie stanowisk w odniesieniu do przyszłego pisma, tak przez poszczególnych działaczy kulturalnych i społecznych naszego regionu, jak również przez zainteresowane w jego powstaniu związki twórcze. Uniknąć by wtedy można było zakulisowych gier i tarć, wygrywania osobistych animozji i szerszego prywaty. Jeśli ma powstać i niechybnie powstanie w Poznaniu nowe pismo, musimy stworzyć jego narodzić możliwie jak najkorzystniejsze warunki, wtedy łatwo nam przyjdzie uniknąć rozgoryczenia, jakim skończyła się sprawa „Nurtu”. Grupa literacko-dziennikarska, która wystąpiła niedawno z konkretnymi propozycjami do władz partyjnych, ma poparcie (jak już wspomniałem) w uchwałach ostatniego walnego zebrania Związku Literatów Polskich. Inicjatywę tę trzeba podjąć, pomóc inicjatorom, zapałem i dobrymi chęciami pokierować, a zrealizowanie projektu na pewno się opłaci. I, jak sądzę, bardzo szybko się opłaci.

Włodzimierz ODOJEWSKI

Sekretarz podst. org. part. przy Poznańskim Oddziale Zw. Literatów Polskich.

W poszukiwaniu nowoczesnej estetyki

(Dokończenie ze strony 1)

są m. in. u nas członkowie warszawskiej „Grupy 55” (M. Bogusz, Zb. Dąbka i in.). Stworzyli oni ambitny program wyrażania ogólnych, moralnych treści poprzez dzieło sztuki.

Dla wyrażania tych treści niezbędne jest posługiwanie się formą nowoczesną, która jest przystająca, adekwatna do nurtujących nas współczesnych problemów. Nie ma mowy o wczuciu się w swoją epokę bez korzystania z form w niej powstałych. Dla malarstwa intelektualnego są to rzeczy tym bardziej konieczne, że z natury rzeczy dla wyrażenia ogólnych, myślowych treści musi się posługiwać ograniczonymi środkami formalnymi. Stąd konieczność posługiwania się nowoczesnymi metodami skrótu i metafory — deformacją realnego kształtu i zaskakującymi, niecodziennymi skojarzeniami przedmiotów. A to są przecież osiągnięcia współczesnego malarstwa europejskiego: deformacja — kubizm, a skojarzenia symboliczne — surrealizm. Środki wynalezione parę dziesiątków lat temu — unowocześnione oczywiście — mogą służyć naszej sprawie bez zarzutu, same bowiem nie decydują o postępowości, o realizmie, czyli zrozumieniu procesów historycznych przez sztukę.

Nie ma więc w repertuarze „wynalazków” współczesnego malarstwa takich elementów, które byłyby do pogardzenia, które są dla nas nieaktualne, bo zrodziły się pod innym, niż polskie, niebem. I nie ma takich środków formalnych, które od samego powstania były już kadencje. Nie, najwyżej były wykorzystywane na Zachodzie do wyrażania nieprawd, zachowawczych treści. Nasza w tym głowa, żeby osiągnięcia tych zniechędzone przez wielu „izmów” zapracować w swoją służbę. Ilustracją do tego jest fakt, że wielu polskich malarzy osiąga bardzo dobre wyniki z połączenia własnych przemyśleń ze środkami formalnymi sztuki francuskiej czy amerykańskiej.

To są rzeczy w moim mniemaniu oczywiste, że w ogólnym bilansie o przyszłości sztuki polskiej będą decydować ci, co przypisują jej największą godność i że na społeczeństwo najsilniej oddziaływać będzie malarstwo najbardziej współczesne — i w formie i w treści.

Urszula CZARTORYSKA

DOBRY OJCIEC

Maria Rudowicz

Łato było w pełni. Na jednej z bocznych ulic Poznania panował ruch i ożywienie. Dzieciarnia jeździła na hulajnogach własnego pomysłu, wywołując piekielny hałas, grała w palanta, piłkę nożną, kłóciła się, baraszkowała. Tu i ówdzie stały rozgadane kobiety.

Na wysokim parterze, przy otwartym oknie, siedziała dość ładna kobieta w średnim wieku. Co pewien czas zrywała się, potem chodząc nerwowo po łbie, i znów gnała ją coś ku oknu.

Wypatrywała męża i syna. Że maż nie wracał — to nie. Do tego była już przyzwyczajona: był nałogowym pijakiem. Korzystał z każdej „okazji”. Lecz syn? Razem z nią przez wiele lat był bit i kopany. Często oboje skrawani ratowali się ucieczką. Ostatnio, gdy dorósł, bronił jej skutecznie, nie dając krzywdzić: przy nosił węgiel z piwnicy, pomagał przy praniu, oddawał całą pensję. Tak, mogła mieć wielkie nadzieje co do syna.

Nagle usłyszała znany zapamiętany głos. Maż dął się na całe gardło: — Dłucyneo, ty masz gaz, zęby ciębie piorun trzasł! Tira-li, tira-la, tira-lija! Deje mi ty dziewucho, dej ryja!

Zaróło się w oknach. Dzieciarnia porzuciła zabawy. Śmiech przeleciał ulicą. Michalska podeszła do okna, by je zamknąć, gdy usłyszała... Syn wtórował ojcu. Jasny chto pięcy jeszcze fałset przechodził w zachrypnięty bas. Zatrzasnęła okno. Oparła się o ścianę. Drugi raz w życiu przeżywała podobny wstyd: kiedyś jako młoda żona, teraz jako matka. Każdy nowy wybuch śmiechu na ulicy był uderzeniem stylu w serce. Usłyszała hałas na schodach, potem ciężki rupot i pijacki chichot syna. No tak, zwał się stary, jak zwykle, ze schodów. Znów będzie bił i kopał... lecz jak się zachowa syn? Drzwi otworzyły się z trzaskiem, pijacy wtoczyli się do kuchni.

— Serwus matka, jesteśmy! No! Nie cieszysz się, że my wrócili obaj z humorem? Co ci powiem: udał mi się syn jak sto piorunów.

Zniszczony przez alkohol chłop, o czerwonej, obrzękłej twarzy, wybuchających idiotycznie oczach, podszedł do kobiety chcąc ją pocałować. Ujrzała z bliska oślinione usta o zwisającej dolnej wardze. Cofnęła głowę. To tylko pijaka podnieciło. Zarechotał gardłowo, oczy zaszyły mu krwią. Jedną ręką objął ją w pasie, drugą gniótł brutalnie pierś. Przygryzła usta... nagle poczuła jak wsuwa rękę pod suknię. Szarpnęła się rozpaczliwie.

— Nie bądź świnią! Romek siedzi, każ mu wyjść!

— A po co? Niech się nauczy, dawno w tym wieku miałem baby. Zostań Romek, zostań i naucz się.

Począł odpinąć pasek. Zrozpaczona kobieta spojrzała na syna. Rozwalony na krześle pół-leżąc, szeroko rozkraczysz nogi, patrzył na matkę. Bezmysłny, zwierzęcy grymas. Był straszliwie podobny do

Autorka tego opowiadania posiada tylko wykształcenie powszechne. Dopiero w czterdziestym roku życia chwyciła po raz pierwszy za pióro, by rzucić na papier brutalne obserwacje, znane jej z najbliższego otoczenia. Po przez chropowatą formę narracji, posiadającą zresztą sporo braków formalnych, przebija jednak rzetelna znajomość życia i szczery protest przeciw podłościom ludzkości. Dlatego właśnie uznaliśmy za pożyteczne pomóc autorce w jej dalszym rozwoju i wydrukować „Dobrego ojca”.

ojca. Ręce bezwładnie opuszczone, dotykały prawie podłogi.

Jednym skokiem dopadła chłopca. Trzasnęła w twarz. Romek zerwał się, podniósł groźnie pięść, lecz spojrzawszy w oczy matki odwrócił się i wyszedł trzaskając drzwiami. Od tego dnia toczyła się między Michalskimi walka. O syna. Matka starała się przemówić mu do rozumu. Przypominała bicie, błagała, by nie pił. Ojciec podsuszał synowi kieliszek przy każdej okazji. Przynosił wodkę nawet do domu.

Chłopak nie chciał matce sprawiać przykrości — nie potrafił jednak odmówić ojcu. Po paru kieliszkach świat różnił. Robiło się na sercu iżej. Zaczął pragnąć wódki. Ojciec puszczał się mawiał: — A co, nie fajny syn? Dzięki mnie! Już nie da sobie w kaszę napluć. To moja krew!

Pewnego razu, było to w dzień wypiaty, wrócili obaj zalan. Ojciec miał „humor”. Jadł kapuśniak głośno młaskając. Syn odsunął talerz zamyślił się. Był ponury i zły. Michalska spojrzawszy na niego miała wrażenie, że to maż. Tak samo wysłała w dniu pierwszej pijackiej awantury. Nagle chłopak wybuchnął: — Wie ojciec co, powiem po dobremu, odwalcie się od Fe-li!

— Wie ojciec co, powiem po dobremu, odwalcie się od Fe-li!

— Wie ojciec co, powiem po dobremu, odwalcie się od Fe-li!

— Wie ojciec co, powiem po dobremu, odwalcie się od Fe-li!

— Wie ojciec co, powiem po dobremu, odwalcie się od Fe-li!

— Wie ojciec co, powiem po dobremu, odwalcie się od Fe-li!

— Wie ojciec co, powiem po dobremu, odwalcie się od Fe-li!

— Co-o? — Michalski przestał jeść, popatrzył na syna, potem wybuchnął ochrypłym śmiechem — Ha-ha-ha-ha! A to ci los! Synek już ojcę do bab zabroni chodźć? Nagle huknął pięścią w stół.

— Ach, ty gnoju! Wpierw ona była moją rozumiesz? Przeze mnie ją poznałeś. Albo obaj będziemy chodźć, albo zbieraj manatki.

Teraz syn podniósł się, i podszedł do ojca blisko: — Nie igraj stary, nie igraj!

Michalski zerwał się i rąbnął syna w głowę. Nie zdążył jednak ręki cofnąć. Otrzymał silny cios w szczękę. Zatoczył się na szafę i z wściekłością, rzucił się na syna. Nowe uderzenie odrzuciło go z powrotem.

Syn złapawszy czapkę wybiegł. Pojekując z bólu dźwigał się Michalski z podłogi. Chwilę stał bezradnie. Potem kołyszając się na chwiejnych nogach, zbliżył się do żony. Wtulił zapłakaną głowę w jej ramiona i zaniósł się rozpaczliwym płaczem.

— Popatrz no, żono kochana! Czego to my się doczekali — lamentował. Taki pieruński szczytnik na rodzinnego ojca się rzucił i za co? Za moją dobroć! Chamskie nasienie, psiakre! A ja byłem taki dobry ojciec...

I jeszcze raz powtórzyl: — A ja mu byłem taki dobry ojciec...



Rys. (2) L. Kapczyński

FENIKOWSKI — po raz ósmy*)

Już ósma książka Franciszka Fenikowskiego na półkach księgarskich. Jak wszystkie poprzednie, i ta oddycha morzem. Autor — poznaniak z urodzenia — „zaprzedał” swój talent sprawie polskiego Wybrzeża, ucząc nas rozumieć i kochać Bałtyk, nasze „okno” na świat szeroki. Stał się „ambasador” spraw morskich” w literaturze współczesnej.

„Długie morze” jest niezwykle interesujące. Gdyby nie język współczesny, można by uważać je za wprowadzenie do „Bolesława Chrobrego” Goliubiewa. Akcja ma tu szeroki rozmach, obejmuje tak działalność pierwszego polskiego władcy jak i życie zwykłego „smar-

da”. Część jej rozgrywa się w Poznaniu, część w grodzie i dwunastu bramach — Wotlinie. Jest tu i Gero umierający, którego zaszczuły zbrodnia, jest Judyta i kłójący z sobą plemiona słowiańskie Wichman i „pobożny” Widukind — dziejopis i Ibrahin Ibn Jakub — szukający grodu niewiast. Lata (965—968) przecież niesłychanie ważne. Oto Dobrawa przybywa do polskiego kraju, wala się stare bogi ku przerażeniu tłumy, i — ku jego zdziwieniu — stare bogi mści się nie potrafią. Fenikowski umiał w swojej powieści dać obraz przekroju ówczesnego społeczeństwa, walki „starego” z „nowym”, rozgrywanej się w umysłach i sercach małych i wielkich bohaterów powieści. Równocześnie problem oparcia państwa o Bałtyk przewija się niebieską wstęgą przez wszystkie kartki książki.

O tyle jeszcze chętniej „Długie morze” weźmie wielkopolski czytelnik do ręki, że znajduje w nim Poznań sprzed tysiąca lat. Inaczej spojrzysz też na ostatnie pierwsze władcy Polan w Złotej Kaplicy katedry poznańskiej: nie jak na po-

bożnego, cichego księcia-mnich, ale jak na tego, który wytknął kierunek swojemu następcy — wielkiemu Bolesławowi.

Franciszek Fenikowski ostatnio przygotował do druku „Zapadły zamek” — powieść o Cynowie i Włosie Ludów na Pomorzu i w Wielkopolsce. Prawdopodobnie już w tym roku wyda ją Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza. „Nasza Księgarnia” ma już na warsztacie drukarskim powieść Fenikowskiego dla młodzieży „Bursztynowe serce”. W tej chwili przygotowuje nową książkę o rybakach z Władysławowa. Niezwykle płodna pracowitość, mimo bardzo poważnej choroby serca.

J. P.

*) Fr. Fenikowski: „Długie morze” — Czytelnik, 1956, str. 644, opr. płóc. — cena 35 zł.

*) E. Sawrymowicz, Juliusz Słowacki, Wiedza Powszechna, Warszawa 1955 r., str. 264, cena 8.50 zł.

Trzonem monografii o Słowackim jest oczywiście analiza twórczości poety. I znowu na dobro książki trzeba zapisać, że nie jest to drobiazgowo, nudne rozszerepienie włosa na czworo, ale rzetelne omówienie najistotniejszych cech poezji i dramatów Słowackiego, ilustrowane najbardziej charakterystycznymi fragmentami. Czytelnikowi, który nie miał okazji uczyć się, czy czytać o Słowackim, da ona dostateczną ilość wiadomości o jednym z naszych największych poetów, a równocześnie będzie dla niego bardzo przyjemną lekturą.

St. O.

DRAMATY „WYBRAŃCÓW BOGÓW“

Napisał: Dr Wł. Krzyżaniak

Wielki Leonardo (1452-1519) zostawia nam takie znamienne wyznaczenie: „Pamiętam, śniłem kiedyś we wczesnym dzieciństwie, że leżę w kołysce i że przylatuje do mnie sęp, otwiera mi usta i muska je swymi piórami jakby na znak, że przez całe swe życie mówić będę o skrzydłach...”

Złe fatum zaciążyć miało nad biegiem myśli wszechstronnego geniusza Odrodzenia. Myśl o skrzydłach nie miała go odtąd opuścić. Dusza artysty i pasja konstruktora były zawsze u progu każdego z jego sławnych „szkieletów” lotniczych. Obwołano go nieukiem w dziedzinie nauk matematycznych. Tomy jego projektów i szkiców, nie wydane, zalegały w kurzu półki jego pracowni, kiedy na zawsze odszedł z niej Mistrz. „Usiłował latać i Leonardo — zgryźliwie mówi Vasari — ale źle na tym wyszedł, bo był wielkim malarzem”.

Leonardo zaczął od podstaw, jakbyśmy dziś powiedzieli, aerodynamiki. Jedną z ksiąg „nauki o wiatrach” to świetne ujęcia oporu i siły nośnej, wirów i kształtu opływowego „sztucznego ptaka”. Dwaście lat wyłożonej pracy! To wielka próba cierpliwości dla

tak czynnego i wszechstronnego umysłu. Człowiek, spod którego ręki wychodziły wspaniałe płótna malarskie, maszyny wojenne, wiersze i kanały, chciał najbardziej ziścić swój sen o sępie. Pracownia jego była zasiana mrokiem od dziesiątków modeli „sztucznych ptaków”, zwisających bezsilnie z sufitu. Bezsilnie. Wszak nie brak im niczego: ani teorii w konstrukcji, ani pomysłowości w jej rozwiązaniach, a jednak potrafią one tylko — zwiśać.

Rok 1505. „Kodeks lotu ptaków” Leonarda. Siła własnych mięśni nie wzbija się do lotu — tragiczne wyznanie kapitulacji. Nie, nowe wysiłki! Rozmieszczenie środka ciężkości, zagadnienie pułapu startu, konstrukcja lotek, kopiowana z podpatrywanych w locie ptaków — wszystko to okazuje się jednak daremne. 14 marca 1505 r. Leonardo śledzi lot wielkiego sępa, takiego jakiego widział we śnie. Leniwą pracą skrzydeł na „sondzie” wstępującego powietrza wzbija się w błękit. A Leonardo stoi przybity do ziemi. Nie zrealizuje pasji swego życia, nie zobaczy „sztucznego ptaka” — szybowa w locie z sobą samym na pokładzie. Tajnym piśmem zamieszcza w notatkach tragiczne i prorocze zarzekanie: „Wielki ptak wzbija się do lotu, napędzając świat swoją sławą. I po wsze czasy sława okryje miejsca, gdzie on się zrodził...”

„Ptak” Leonarda nie wzbijał się tak do lotu, a marzenie życia zostało tylko marzeniem. Rezygnacja, zrezygnacja też wiekiem i ustawicznym rozpraszaniem geniuszu w zbyt wielu kierunkach, zrobiły swoje. Leonardo nie starczyło sił na decydującą próbę. Dramat swój okupił tytułem pierwszego teoretyka lotnictwa. Około 400 lat później Lilienthal wzbija się na swym dwupłacie. Poryw wiatru — pod stemem drzazg skrzydeł strzęp meżnego Otto. Koło dramatów zostało teraz zamknięte.

Noc Pascala

Był raz człowiek — czytamy u Chateaubrianda — który mając lat dwanaście, z kreską i kółką wyczerpał matematykę, który mając szesnaście ułożył traktat o stożkach najbardziej uczony ze wszystkich, jakie były znane od czasów starożytnych, który mając dziewiętnaście sprowadził do działania maszyny umiętności czysto rozumową, który mając dwadzieścia trzy ustalił fakt ciężaru powietrza i unicestwił jeden z wielkich błędów dawnej fizyki, który w latach, w jakich inni zaczynają się niejako rodzić, przebiegłszy cały krag ludzkich umiejętności dostrzegł ich nieomość, który od tej chwili aż do śmierci w trzy dziesiątych dziesiątych roku życia — zawsze cierpiący i słaby — utrwalił język Bossueta i Racine’a, dając w nim wzory zarówno najbardziej doskonałej ironii jak i najmocniej przekonującej argumentacji, który wreszcie — w krótkich przerwach między cierpieniem a cierpieniem — rozwijał dla rozrywki jedno z najbardziej zawiłych zagadnień geometrii i rzucił na papier myśli tyleż Boże, co człowiecze. Ten drugocący geniusz nazywał się Pascal.

W roku 1635 mieszkańcy południowo-francuskiego Clermontu wczesnie idą spać. Ale 12-letni Błażej ukradkiem oporządza łamę. Dziś nie chce mu się spać. Dziecinna głowa wśród ciszy nocy pochylona nad startą kart. Skrzypi pióro, coraz późniejsze godziny nocy wydzwania zegar wieżowy. Błażej kreśli linie proste, „paliki” jak je nazywa — i okręgi — „kółka”. Wyrywa z nicości jeden po drugim pewnik Euklidesa. Twarz pionie w wypiękach, wylaniają się przed malcem nowe wspaniałe światy, nie dziw, że zachwylił się starożytnym Grekiem! Ale oto czuje na ramieniu ucisk czyjejś dłoni! To ojciec stoi za nim. Okrzyk trwogi jak u przylapanego złoczyńcy. Nie bój się, malcze, ojciec, matematyk, ma w oczach łzy szczęścia i dumy.

Trudno teraz o los łaskawszy, Pascal tworzy, rozwijając

się błyskawicznie z charakterystyczną gorączkliwością dzieci genialnych. Młodziak — jest blaskiem salonów, pupilem sław naukowych. Prawy, prosty jak matematyczne prawdy, z pasją demaskuje fałsz swej epoki. To lekkomyślnie jednak, kiedy kłała się własne gniazdo. Opanowuje go poczucie pustki, bezcelowości, goryczy. I oto przeżywa swą drugą „noc”, jakże inną niż jego młodość i wieśnicy. Kochanki: matematyka, fizyka zapadają się w przepaść, wyrasta problem ludzkiego losu, „wieczna cisza tych nieskończonych przestrzeni przeraża mnie”...

Tej nocy, 23 listopada 1654, jak w noc dzieciństwa, gwiazdy nad głową Pascala płoną tak samo wysoko. Czemu dziś tego geniusza fizyki napawają lękiem? „Nie wiem, kto mnie wydał na świat, ani co jest świat, ani co ja sam. Żyję w strasznej niepewności wszystkich rzeczy. Widzę te przerażające przestrzenie wszechświata, które mnie otaczają, nie wiedząc, czemu mnie umieszczono raczej w tym miejscu niż w innym... ale, co mi najbardziej nieznane, to sama śmierć, której nie podobna mi uniknąć.”

Co począć? Któż pragnąłby mieć za przyjaciela człowieka, który rozumuje w ten sposób? I wreszcie, do czego można by w życiu go użyć?

Pascal zamyka się w klasztorze, największą krzywdę wyrządzając naukom. Jego wybrana samotnie zrównała z ziemią zawziętość ludzka, a miejsce zorano i zasiano zbożem. Dramat „nocy Pascala” tak bardzo ludzki działa z przeświadczeniem, że samobójczy kuli. Czy zawsze?

Nóż i kula Galois

Nie zawsze! Oto najmłodszy z naszych „wybrańców bogów”, Francuzik Ewaryst Galois. Rok 1811 jest datą urodzin jego i nowego „rymskiego króla” Francji. Wieja wicher. Nadchodzi Wiosna Ludów. Ewaryst chłonie ten wiew. Nienawidzi tyranii i fałszu równie silnie jak żarliwy chrześcijanin Pascal.

„Uzbrojone geby” tyranii które wyszydzał Pascal, teraz przebrały kres. Ewaryst godzi w nie gniewem i nożem. Z sztyletem skierowanym ku brzegom kielicha wznosi publicznie sarkastyczny toast „na cześć Ludwika Filipa”.

Młode życie płynie wśród strasznych wstrząsów. Ojciec, rad wszystko kochany ojciec, który mu wyrósł — skazanie na matematykę, „najszlachetniejszą z nauk”, ginie jako ofiara nędznej prowokacji. Czytamy o tej porywawości przyjaźni ojca i syna w pięknym dziełku Infelda. Ewaryst genialność umysłu łączy z charakterem gwałtownym i nieobliczalnym. Rękopisy jego prac przesyłane Akademii Francuskiej wędrują do kosza. Zmurszałe profesorskie trupy nie chcą czytać genialnych rozpraw „smarkacza”. Cauchy przegląda swą 789 rozprawę, gdy mu spada na biurko praca „tego” Galois. W koszu — dobre dla niej miejsce! Dopiero po prawie stuleciu Galois przemówi donośnie z kosza.

Wtedy „teoria Galois” opromienie jego nazwisko blaskiem gwiazdy pierwszej wielkości na firmamencie nauk matematycznych. Ewaryst w szeregach republikańskich atakuje tyranie na ulicach Paryża. „My jesteśmy uosobieniem siły, odwagi i postępu” — z wyzwaniem tym

staje przed sądem. Sztylet, dówód rzeczowy, wraca do kieszeni Galois, sąd nie widzi zagrożenia monarchii. Ale tyrania czuje się zagrożoną. Znowu mury więzienia. Oczekiwanie wyroku skraca Galois korektą swych prac matematycznych. „Protektorem” z Akademii Francuskiej przesyła list, tryskający jadem ironii.

Takim się jest, kiedy mając lat tylko 21, ceni się więcej swą wolność — w więzieniu od szczyblu kariery, upodłonej po chlebskim i obłudną zmianą przekonania. Ale oto policja znajduje usługę Ewe. Ona sprowokuje Galois. W barbarzyńskim pojedynku o jej „część” Galois śmiertelnie ranny usłyszy ostatni akord swego dramatu. Złamany talent, zniweczone prace, zhańbiona pamięć ojca-przyjaciela, triumfująca znielawidzona tyrania, nawet ta pierwsza miłość zdeptana perfidią ulicznych prowokatorów.

Galois dosięgły kłęski i kula, gdy miał lat tylko 21, Leonardo miał więcej — czasu, by „z przejęciem oglądać” dramat swego życia. Galileusz dopiero jako 80-letni starzec musiał wyrzec się dzieła swego życia, a Pascal odszedł w samotności wgnany własną rozterką. Dramaty „wybrańców bogów” — to brzmi z patosem, ale też „pathos” po grecku znaczy: namiętność, cierpienie i kłęska.

KILKA FAKTÓW z międzywojennej przeszłości MTP

Dr Janusz Ziółkowski
konsultant ekonomiczny
Zarządu MTP

Ze względu na brak sił fachowych lub kapitału nie mogły one utrwalic swego bytu. Przyczyniała się do tego również katastrofalna inflacja walutowa, nie pozwalająca na ustabilizowanie życia gospodarczego. Niektóre firmy zniknęły tak prędko z powierzchni, jak przedko powstały. Ta ciągła fluktuacja stanu przedsiębiorstw przemysłowych sprawiała, że w pierwszych latach wojennych odsetek stałych wytwórców nie przekraczał 50 proc.

Cechą pierwszego okresu jest więc ciągła zmienność warunków przemysłowych i wielki ruch handlowy mimo braku towaru. Kupiec poszukiwał w tym czasie dostawcy.

Okres 1925—1928 charakteryzował się koniunkturalnym ożywieniem życia gospodarczego w Polsce w związku z cykliczną, względną stabilizacją światowej produkcji przemysłowej, jak i w dziedzinie stosunków gospodarczych Polski z zagranicą. Nie oznacza to jednak, iżby między tym znacznie bardziej rozwiniętym krajem kapitalistycznym a półfeudalną jeszcze Polską nie dochodziło do sprzeczności, właściwych ustrojowi kapitalistycznemu. Czasowe zerwanie stosunków handlowych z Niemcami przyczyniło się do nawiązania porozumień z krajami skandynawskimi, Austrią, Czechosłowacją i krajami bałkańskimi.

Zagraniczni wystawcy w lot uchwycili znaczenie Targów Poznańskich dla międzynarodowych obrotów towarowych i usługowych. Udział ich stale wzrastał i w r. 1928 osiągnął najwyższy wskaźnik całego okresu istnienia Targów — 40 procent.

Począwszy od r. 1925 uwydatniała się na Targach selekcja wystawców, której podłożem była postępująca koncentracja przedsiębiorstw. W tym okresie zmieniła się również sytuacja na rynku. Gdy przedtem kupiec poszukiwał dostawcy, teraz krajowy przedsiębiorca kapitalistyczny starał się o nowego klienta i utrzymanie starego, gdyż liczyć się musiał z konkurencją

rencją towaru importowanego z zagranicy.

Również od r. 1925 Targi Poznańskie pozyskiwały udział wielu przedsiębiorstw z innych dziedzin Polski. Nic dziwnego, że przy stale wzrastającym udziale wystawców i odbiorców z kraju i zagranicy obroty targowe zwiększały się co roku, a wzrastającemu zapotrzebowaniu na metraż mogły Targi zadośćuczynić tylko przez wybudowanie nowych hal i pawilonów. Punkt przełomowy w rozwoju przestrzennym i szacie architektonicznej Targów stanowiła Powszechna Wystawa Krajowa w 1929 r., przysparzająca im szereg budowli.

Cały świat kapitalistyczny przeżywał w latach 1929—1933 potężne przesilenie gospodarcze, nie mające sobie równego od dziesiątków lat. Kryzys rozprzestrzenił się na wszystkie kraje kapitalistyczne, między innymi i słabo uprzemysłowaną, rolniczą Polskę. Następuje podówczas najsłabszy okres Targów. Liczba wystawców zagranicznych w 1930 r. (Targi w 1929 r. nie odbyły się z powodu Powszechnej Wystawy Krajowej) spadła w porównaniu z 1928 r. o 50 proc., zmalała frekwencja wystawców krajowych i osób zwiedzających Targi, zmniejszyły się wybitnie obroty targowe. Nie było to jednak cechą samych tylko Targów Poznańskich, gdyż wszystkie inne targi zagranicą przechodziły podobny kryzys.

Lata 1934—1939 były dla kapitalizmu światowego okresem likwidowania skutków kryzysu przy postępującej faszystyzacji szeregu państw kapitalistycznych. Państwo polskie stawało się coraz bardziej instrumentem nie tylko krajowego, ale — i to przede wszystkim — międzynarodowego kapitalizmu monopolistycznego. Jest to równocześnie okres wzmożonej ekspansji kapitalizmu przemysłowego państw zachodnich, a przede wszystkim hitlerowskich Niemiec, które za pośrednictwem Targów Poznańskich podporządkowywały sobie polski rynek zbytu. Świadczy o tym liczba udziału hitlerowskich Niemiec w Targach Poznańskich w ostatnich latach przed wybuchem wojny (w 1936 r. — 67,75 proc. ogółu wystawców zagranicznych, w 1937 r. — 47,10 procent, w 1938 r. — 56,60 proc.).

Przejęciowie i częściowe ożywienie życia gospodarczego Polski w latach 1934—1939 uewnętrzniało się w Targach w postaci zwiększonego udziału wystawców oraz wzrastających obrotów. Rekordowym pod tym względem był rok 1938, kiedy to liczba wystawców sięgała 2.200, łączna przestrzeń zajętego metrażu — 56.000 m², liczba zwiedzających wynosiła 315.000 osób, obroty zaś handlowe przekroczyły 120 milionów złotych,

Rozmaitości

„Makbet” będzie czwartym filmem szekspirowskim, który zamierza nakręcić Lawrence Olivier; do tej pory sfilmował „Henryka VIII”, „Hamleta” oraz „Ryszarda III”.

„General Motors” awizuje wypuszczenie 15 maja nowego modelu samochodu z silnikiem spalinywym, który pracuje na benzynie, na mazucie, oleju wielorybnim i oleju jadnym itp.

Nowe radzieckie wydanie dzieł Balzaca ukaże się w 16 tomach, w nakładzie 165.000 egzemplarzy (I).

Finlandia oświadczyła, że chwilowo nie widzi potrzeby projektowania zakładów energii atomowej, ponieważ jej naturalne zapasy wody dla napędzania elektrowni klasycznych są praktycznie niewyczerpalne.

Profesor jugosłowiański dr P. Zdravcov stosuje przy operacjach uszu sztuczny bębnek z poliwinitu; metoda ta — jak donoszą liczne fachowe pisma zagraniczne — zdajeła w pełni egzamin, szczególnie w przypadkach chronicznej głuchoty.

Miliarder greckiego pochodzenia Onassis, właściciel największej floty wielorybniczej, ofiarował nową księżniczkę Monako kołig wartości 5 milionów franków; zadróż własnej żony uśmierzył kołig wartości 35 milionów franków.

Słynna aktorka filmowa włoskiego pochodzenia, Anna Magnani doznała uczucia misjonarskie franciszkańskie im. Marii, występując w kornie zakonnego koroju; interwencja wysokiej osobistości watykańskiej położyła kres konfliktowi.

1200 studentów obejmujących narodowości całego świata, kształcą się na wyższych uczelniach w Chińskiej Republice Ludowej.

720 tysięcy małych lososli zostało poddanych tatuazowi przed wypuszczeniem ich do amerykańskiej rzeki Columbia, ichciolodzy mają zamiar przekonać się, ile z narybku przeżyje do chwili uzyskania swej pełnej dojrzałości.

Wśród jedenastu najlepiej ubranych ludzi na świecie, których listę sporządziło angielskie pismo krawieckie „Tailor and Cutter”, na pierwszym miejscu figuruje 7-letni książę Karol; na liście znajduje się również marszałek Bułganin, wyróżniający się nieskazitelnym skrojonym garniturem.

Egipt staje się potęgą filmową: produkcja za rok 1954 — 62 filmy; za rok 1955 — 82 filmy. (Rzecz warta dedykacji dla „Filmu Polskiego”).

50 członków „Stowarzyszenia pokrzywdzonych małżonków” zebrało się w ruinach angielskiego kościoła w hrabstwie Yorkshire dla znalezienia właściwych sposobów na swoje żony.

W maju Florencia będzie widownią tradycyjnych uroczystości poświęconych osobistościom, których twórczość związana jest z tym miastem; w bieżącym roku uczceni zostaną Romain Rolland, Ingres, Tomasz Mann oraz Wordsworth.

Jedną z wnuczek sędziwego dyktanta włoskiego Toscaniniego poślubiła w tych dniach księżniczka Aquarone; wśród 3000 podarków ślubnych zanotowano czek z podpisem Toscaniniego.



Widok na Dom Administracyjny i Halę Ciężkiego Przemysłu w r. 1928

NA SZLAKACH KOMET

Popłynęły dni w których czas stał się czymś sztucznym, nie wymiernym. Sen, jedzenie, odzyskiwanie i wieczorne dyskusje w kabinie głównej, określały jego mijanie, wbrew niezmiernej, mroźnej martwocie nieskończoności otaczającej statek. Rozmowy niebawem zaczęły się powtarzać, jak krajobrazy na karuzeli. Wrażenia sprawowały się do tęsknot, do pragnienia jakiejś zmiany, obserwacje do dostrzegania wzajemnych słabostek. Przez dłuższy czas dziewczynę przygody Bowskiego, który nadal był przekonany o tym, że wszystko co przeżył na

sobie z tym rady. Mysłę, że chyba staje się...

Tina wstała i pocierając palcami skronie, zaczęła chodzić po kabinie. Bara obserwowała ze zdziwieniem gorączkowo płonące oczy przyjaciółki i jej nerwowe ruchy:

— Mówiłam ci, abyś się trzy mała jak najdalej od Bowskiego — powiedziała wreszcie.

— Tak, tak! Ale teraz już jest za późno. Wiesz, ja... ja mam zarazę w sobie — przezwalała na chwilę. — Rozumiesz? Zarazę!

Bara, zaskoczona stanem

— Jesteś przewrażliwiona — przerwała Bara — a poza tym, jak można mówić chorobie o chorobie. Rozumiem ciebie.

— Czekaj, jeszcze nie koniec!

Tina sięgnęła po papierosa i zaczęła nerwowo miotać go w palcach. Potem zapaliła i ciągnęła dalej.

— Może to była tylko wybujała wyobraźnia, teraz już do prawdy nie wiem. Matka potrafiła to wytłumaczyć, uzasadniła naukowo. A jednak...

Znów twarz Tiny zadrgała.

— Mów dalej!

— Dalej... — Tina zaciągnęła się dymem. — Teraz to wszystko odżyło. Mam wrażenie, że to się stało wczoraj, że właśnie tam za ścianą... To było straszne! W głuchej nocy, gdy tylko wiatr wyl za oknami, szarpnięcie się w białych zawojach, nagle z pokoju ojca dało się słyszeć ciężkie westchnienie, od jakiego włosy dęba stają na głowie.

Zerwałyśmy się na równe nogi. Matka otworzyła drzwi i wówczas zobaczyłam na tle okna rękę ojca wyciągniętą nad stołem, nad miejscem, na którym leżał obrazek Marty.

Wiem, że zaczęłam płakać. Narobiłyśmy hałasu. Do pokoju wbiegło paru obudzonych pracowników stacji. Po chwili w szlafroku zjawiła się Marta. Gdy zobaczyła, co się stało, oszalała. Zaczęła coś deklamować i bić głową w podłogę. Potem złorzeczyła mojej matce. Pamiętam jej twarz otoczoną pasmami siwych, rozwichrzonych włosów, zmarszczoną jak skorupę włoskiego orzecha, w której — jak świeczki — płonęły nieprzytomne oczy.

— Macie, macie — krzyczała — oto cud! Nie uszanowaliśmy pamięci zmarłego, więc on sam się upomniął o swoje prawa. I to ma być zła? Własna żona, o biada nam!

Groziła matkę pięściami i ciągle powtarzała: „cud, cud!”

— Marta pewnie sama upozorowała to wszystko — uśmiechnęła się Bara, która mimo całej ekspresji i wymowy przyjaciółki, nie mogła nie dojrzeć ponurej groteskowości namalowanego przez nią obrazu.

— Nie — odparła Tina — zamarnięte ciało odtopniało, powietrze wyzwoiliło się z płuc — usłyszysz westchnienie i przy tym rozluźniły się mięśnie i wyprostowała się ręka. Gdy pomyśleć trzeźwo, to wszystko mogło być zwykłym przypadkiem. Ale wiesz...

Tina przystanąła i znów patrzyła na Barę spojrzeniem obitego psa.

— A co, jeśli to jednak nie był przypadek? Jak odróżnić przypadek od nieprzypadku? Gdzie kończy się wiara a zaczyna się wiedza?

„Dziwne — myślała Bara — że ludzie ze skłonnościami do metafizyki mają talent do takiego formułowania pytań, że niesposób dać na nie rozsądnej odpowiedzi.”

— Słuchaj — powiedziała wreszcie — jeżeli skaleczysz się



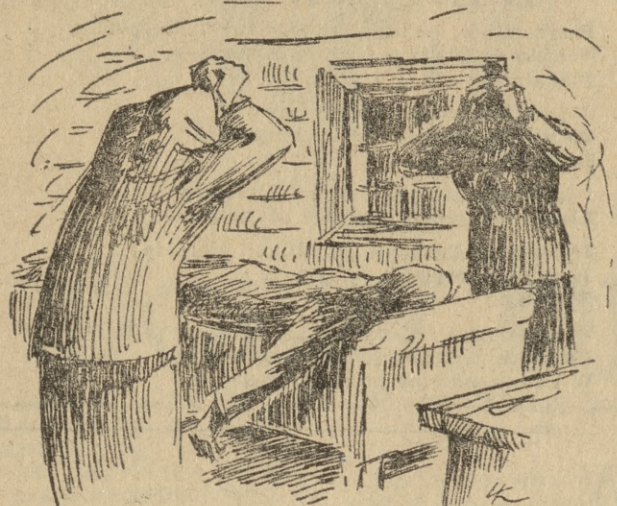
Racionalizator

Gdy matka odeszła na chwilę, kręcąc się obok Marty, ponownie włożyła zmarłemu swój obrazek. Po powrocie matka zauważyła wszystko i zagadnęła o to Martę. Z ostrej wymiany zdań, jaka wywiązała się między nimi, zrozumiałam... Marta była przekonana, że ojciec żyje i obrazek może go uszczęśliwić. Ale jak?

Marta wreszcie oddaliła się, mrucząc coś pod nosem. Nie mogłyśmy usnąć, więc matka opowiadała mi wówczas po raz pierwszy o religiach, a za oknem... za oknem leciały obłoki śnieżne, jak białe anioły, lub duchy...

Mamo prze-
stań, ja sam to
potrafię!

Rysunek ten dedykuję Witalisowi Dorożale. H. Derwich



Rys. — L. Kapczyński

komecie, miało nadprzyrodzony charakter, były przedmiotem zabawnych komentarzy. Nie po mogły wyjaśnienia Ivo Eiro i Ligowskiego, którzy demonstrowali nawet pistolety odrzutowe, służące do poruszania się w próżni, dziennikarz nie ustępował.

— Właśnie — mówił jest to dowodem, że w dawnych wierzeniach kryje się wielka, powszechna prawda. Bo skądże ludzie żyjący przed tysiącami lat i nie nie wiedzący o kosmosie i prawach fizycznych, mogli to wszystko przewidzieć i odgadnąć? Chodzi tu tylko o terminologię. To co wy nazywacie prawami oni nazywali cudami. Oni odkryli pierwsi prawdę, a wy do tych odkryć dorobiliście metodę, która jednak nigdy nie sięga do dna i pozostawia dość miejsca na tajemnicę. Odebrałście rzeczom wielkość i wszystko zniżyliście do tuzinkowych zjawisk.

Większość słuchaczy mniej obytych z historią z trudem orientowała się, o co chodzi. Doktor Loiseau i Bara, bardziej biegli w przedmiocie, nie raz musieli tłumaczyć, jak w przeszłości wyobrażano sobie istotę wyższą i jakie nadzieje z nią wiązano. Rozmowy te wprowadzały coś niezdrowego do ogólnej atmosfery. Posiadały narkotyczną moc sensacji, której trudno się było przeciwstawić. Bara dostrzegła, że Tina bardziej niż inni przejmowała się tymi rozmowami. Przyłapała ją nawet na czytaniu grubego dzieła pod tytułem „Wielcy prorocy i ich wierzenia”. Być może nie zwróciła na ten fakt uwagi, gdyby nie zmieszanie się dziewczyny, która na jej widok szybko zamknęła książkę i zarumieniła się. Bara przewertowała kartki i zwróciła tom przyjaciółce. Tina szybko zmieniła temat i zaczęła mówić o odkryciu Maksa Euve.

— Wiesz, z obiektem, Rena sa pewne trudności. Mówił mi...

Bara słuchała słów, które topniały, jak płatki śniegu w powietrzu, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu.

— Po co to wszystko mówisz?

— spytała.

Tina zamilkła nagle, jak wyłączony głośnik. Przez chwilę słaby uśmiech gonił zerwane zdania i wreszcie twarz jej przybrała zwykły skupiony wyraz.

— Co ci jest?

— Jak to co? Po prostu zastanawiałam się...

— Chciałam z tobą porozmawiać.

— Ja też, od dawna, tylko się boję...

— Boisz się? Czego?

— Myśli, które potrafią wskrzeszać zmarłych i wzniecać w nich jakieś pragnienia. Słów... Dlaczego przeciwko słowom, jak przeciw bakteriom, nie wynaleziono antybiotyków?

— Nie rozumiem! Co ty wygadujesz?!

— Wiem, że nie rozumiesz. Ja sama również nie mogę dać

w palec, to będzie on bolał dlatego, że jest skaleczony, a nie dlatego, że świeci słońce, lub deszcz pada.

Po tej rozmowie Bara przez dłuższy czas nie mogła pozbyć się wrażenia jakiejś nieokreśloności. Wiedziała, że coś nie zostało dopowiedziane. Podobnie — myślała — powinien czuć się malarz, któremu ktoś opowiada rysy twarzy i który musi na tej podstawie namalować portret. Myśli te nie dawały jej spokoju, przypominały chwilę depresji w obliczu groźby utraty wzroku. Czyżby lęk i słabość były podłożem, na którym człowiek usiłuje zdeorganizować realia w marzenie, w sen, w nicność?

Pewnego jednak dnia Maks Euve miał dawno zapowiedziany odczyt o wpływie obiektu Rena i Jowisza na orbitę komety „Schwassmana-Wachmana”, zderzenie, które omalże się nie stało ostatnią przyczyną katastrofy. Odczyt miał charakter matematycznej analizy i podważał dotychczasowe hipotezy zarówno Dag Rossy, jak i Rena.

(Ciąg dalszy za tydzień)

MIK

Wiewiórka

Było rzeczą całkowicie zrozumiałą, że Wiewiórka cieszył się wśród mieszkańców gromady Wydmą pełnym uznaniem.

— Swoją chłopi! — mawiali wudmianie — chociaż Wiewiórka nie był chłopem, ale zaopatrzeniowcem w GS-sie.

Otóż Wiewiórka od pewnego czasu tak polubił mieszkańców Wydm, że mieli wszystko, czego potrzebowali. Sklep gromadzki pęczniał od towarów. Obok dużego asortymentu materiałów włókienniczych i spożywczych pokazały się narty, uprząż końska i akordeony. Od pewnego czasu nie brakowało papieru do zawiązywania śledzi. Chłopi dostali na przydział tyle nawozów sztucznych, że będą mogli na wiosnę podzielić się nimi po sąsiedzku, za podwójną cenę, z innymi gromadami. Cynkowe wiadra, o które tak trudno było dawniej, teraz poza swymi normalnymi funkcjami, spełniały jeszcze tu i ówdzie rolę doniczek do fikusów, oczywiście po uprzednim przedziurawieniu dna. Coraz lepszą opinię jako surowiec opałowy zyskiwały sobie przydziałowe deski budowlane, cięte starannie piłą na krótkie kawałki. Kilku mieszkańców dbałych o czystość w obejściu wpadło na pomysł wyłożenia podwórza podwójną warstwą papy dachowej, a wysypianie przez ob. Bugaj ścieżki ogrodowej dwucalowymi gwoździakami zamiast tłuczonej cegły było pięknym przykładem wykorzystania nadwyżki niektórych materiałów reglamentowanych na cele kulturalno - bytowe chłopstwa indywidualnego. Mieszkańcom Wydm brakowało tylko pta-

siego mleka, chociaż Wiewiórka kiedyś przyrzekł, że jeżeli zajdzie potrzeba, to i o to się wystara w powiecie.

Od tygodnia nastąpiły jednak w Wydmach poważne zmiany. Sklep gromadzki jest stało zaopatrzone. Odczuwa się doku- cziwy brak nart, uprząży końskiej i akordeonów, nie mówiąc już o takich luksusowych artykułach jak cukier, sól, mydło i mąka „Krupczatka”. Z braku białego papieru śledzie zawiąza się znowu w egzemplarze „Chłopskiej Drogi”. Skończyły się wiadra, w niektórych domach wyrzucono fikusy na śmietnik, aby zdobyć naczynia chociażby z małą dziurką w środku dna. Gwoździ nie przywieziono z powiatu i ob. Bugaj musiał swój zapas wybierać z ogrodu i po parę sztuk rozdać wśród najbardziej potrzebujących.

We wsi brakowało nie tylko wyżej wspomnianych artykułów, ale i ob. Wiewiórki. Nie zjawiał się, chociaż przedtem czynił to dwa razy w tygodniu.

Byłoby grubą niesprawiedliwością, gdyby ktokolwiek miał o to do niego pretensję. Ob. Wiewiórka to uprządkie zaopatrzeniowiec GS-u, ale i równocześnie aktywista spółdzielczości produkcyjnej. Już niejedna wieś dzięki niemu wybrała wyższą formę gospodarki.

Właśnie teraz Wiewiórka zaczyna pracować dla dobra chłopów gromady Płaski Wielkie. Bo w Wydmach spółdzielnia powstała już przed tygodniem.



WŁODZIMIERZ SCISŁOWSKI

Traszk
Trudność

Choćby stracił życia pół — nie zrozumie byka — wół.

Zaufanie

Zaufanie pięknych dam zyskasz tylko sam na sam.

Nawet

Nawet na Mount Everście nie można ufać niewieście.

Gdyby

Gdyby miał Adam więcej Ew, wnet by zabrał w raj drzew.

MIŁOŚĆ



Teraz...

... i po 20 latach...